

Warszawa • rok • III • 1935/6 • nr. 1

w r z e s i e ń ■

Przedszkole

■ miesięcznik

organ Sekcji Wychowawczyń ■

Przedszkoli Związku Nauczy ■

———cielstwa Polskiego ■

T R E Ś Ć N U M E R U:

OD REDAKCJI

PIOTR PETERSEN

Przedszkole i szkoła na wsi.

IRENA KATZÓWNA

Przedszkole miejskie z Warszawy na kolonji.

ZOFJA CHARZEWSKA

Z pracy w przedszkolu. Opracowanie tematu „Warzywa”.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

„L'école maternelle française”, maj, czerwiec 1935 r.

NAKŁADEM ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Smulikowskiego 1.

Redakcja czynna codziennie od godz. 11 do 14. Tel. 669-70.

Administracja czynna od godziny 8-ej do 15-ej. Tel. 269-49.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata roczna zł. 8.—

Dla członków Związku Nauczycielstwa Polskiego . zł. 4.—

Przy prenumerowaniu dwóch i więcej czasopism . zł. 3.—

KONTO P. K. O. Nr. 435.

CZŁONKINIE SEKCJI Wychowawczyń Przedszkoli Z. N. P. otrzymują „Przedszkole” bezpłatnie.

Od Redakcji

Rozpoczynając trzeci rok wydawnictwa „Przedszkola”, pragniemy dokonać krótkiego przeglądu tego, co powinno być i jest zadaniem naszego pisma. A więc przede wszystkim chodzi nam o służbę sprawie przedszkolnej w Polsce z jednej strony przez oświectanie jej znaczenia i zjednywanie dla tego zagadnienia coraz liczniejszych rzesz społeczeństwa, z drugiej przez przyczynianie się do dźwigania organizacji przedszkoli na należyty poziom. Organizacja ta interesować nas musi tak pod względem zasad ustawowo-prawnych, jak też zasad i sposobów prowadzenia instytucji przedszkolnych. W szeregu ustaw i rozporządzeń wykonawczych, dotyczących ustroju szkolnictwa w Polsce i obejmujących przedszkole jako jedno z ogniw oświaty narodowej, brak jeszcze ustawy o szkolnictwie samorządowym, a więc i o przedszkolach samorządowych, brak też ustalenia do kogo ma należeć ustawowy obowiązek otwierania i prowadzenia przedszkoli. Zdając sobie sprawę, iż nie od zaraz można się spodziewać realizacji naszych poglądów i zamierzeń, stoimy jednak na stanowisku powszechności przedszkola narówni ze szkołą powszechną i w tym kierunku sprawę oświećtać i wyjaśniać będziemy. Zwrócimy też baczną uwagę na istniejące wśród społeczeństwa tendencje do skierowania przedszkola z drogi wytkniętej przez ustawę o ustroju szkolnictwa. Tendencje te pragną sprowadzić przedszkole do szeregu instytucji opiekuńczych. Aczkolwiek zamiary takie mogą powstać tylko w umysłach ludzi nie rozumiejących istoty rzeczy, faktem jest jednak, że istnieją, szkodząc oczywiście normalnemu rozwojowi zagadnienia przedszkolnego. Tendencje takie i ta-

kie jednostki „Przedszkole” będzie zwalczało, nie do pomyślenia jest bowiem, aby przedszkole, na całym świecie uznane za instytucję oświatową, miało w Polsce wrócić do roli dawnej „ochrony”, instytucji opiekuńczej. Dążąc do dźwigania coraz wyżej przedszkola jako instytucji wychowawczo-oświatowej, nie ograniczamy się do wzorów własnych, otwieramy okno na świat, chcemy poznawać to, co inni zdziałali, niejedno sobie przyswajając, „asymilując” tak, aby to, dotychczas cudze, stało się odpowiednie dla naszych potrzeb.

Interesuje nas specjalnie akcja kształcenia i doksztalcenia personelu wychowawczego w przedszkolach. Będziemy się starali ją oświecić i z nią współdziałać, aby koleżanki, chcąc iść z duchem czasu, mogły znaleźć w naszym piśmie pomoc i radę. Prosimy też nasze czytelniczki, aby zechciały zwracać się do „Przedszkola” we wszelkich sprawach, dotyczących zawodu wychowawczyni przedszkola tak pod względem organizacyjnym jak pedagogicznym, metodycznym i służbowo-prawnym. Prosimy też o artykuły i obrazki z życia przedszkoli o treści zasadniczej. Wzajemna wymiana myśli i poznawanie się wzajemne łączy, zespala, buduje. Do konsolidacji całego nauczycielstwa przedszkolnego w Polsce pragniemy jak najwydatniej się przyczynić.

Piotr Petersen z Jeny

Przedszkole i szkoła na wsi

Artykuł niniejszy, pióra znakomitego pedagoga niemieckiego, twórcy szkoły Jenajskiej, prof. uniwersytetu w Jenie, d-ra Piotra Petersena, nadesłany nam przez autora w języku niemieckim, podajemy w przekładzie polskim.

Przyczyny, dla których zakłada się po wsiach przedszkola, są przede wszystkim natury społecznej. Od dwu mniej więcej pokoleń zagadnienie społeczne, ciężące nad ludami, jest tak samo żywotne, tak samo poważne i lęk budzące na wsi jak i w miastach, a przedewszystkiem w ośrodkach fabrycznych, w których powstało. Te same więc przyczyny natury społecznej zmuszają do zakładania przedszkoli i na wsi.

Odrodzenie myśli Froebła, które rozpoczęło się około 1925 w Turyni, specjalny i silny nacisk kładzie na przedszkole wiejskie, podkreślając, że zakładanie ich, to działalność społeczna, poważna i szlachetna. Nie

jest dziełem przypadku, że Wydział Opieki Społecznej Min. Spraw Wewn. w Weimarze rozpoczął i prowadzi tę działalność ¹⁾).

Czysto społeczny punkt widzenia występuje przedewszystkiem w t. zw. „żniwnych przedszkolach”, które zapoczątkowane w Turynngji, rozszerzyły się i w wielu innych prowincjach ²⁾).

Powinny one „przynajmniej na czas najcięższych robót polnych, odjąć kobietom ciężar opieki nad dzieckiem”. Erna Corte opowiada, jak te żniwne przedszkola są zorganizowane pod względem pedagogicznym. Obsługują je słuchaczki trzeciego semestru Społeczno-Pedagogicznego Seminarjum dla Wychowawczyń w Szczecinie. Słuchaczki te są wysyłane przez Kierownictwo Seminarjum po dwie, aby łatwiej znieść mogły wiejską samotność, pracują w przedszkolu od lipca do września. Są to dziewczęta przeważnie ze wsi i, o ile można, wysyła się je w strony rodzinne. Praca ich jest ciężka, takie bowiem „żniwne przedszkole” musi łączyć dzieci różnego wieku, i przynajmniej raz na dzień trzeba im ugotować jedzenie. W roku 1932 Pomorze (niemieckie) liczyło około 27 żniwnych przedszkoli. Z czasem zaczęły one trwać dłużej, niż okres żniw. Zainteresowały się tą sprawą różne organizacje społeczne, jak Izby Rolnicze i organizacje kobiece. Praca, rozpoczęta w lecie, przeciągnęła się i na okres zimowy, rozszerzyła i pogłębiła, gdyż wychowawczynie zajęły się jednocześnie przeszkoleniem matek, ucząc je racjonalnego obchodzenia się z dziećmi.

Oczywiście, że taka praca wymaga wykwalifikowanych, dzielnych wychowawczyń. Trzeba mieć nadzieję, że nawiążą one ścisłą łączność ze szkołą wiejską i we wspólnej pracy z nauczycielstwem lepiej jeszcze ujmą pracę w służbie dzieci i młodzieży wiejskiej.

Zrozumienie wartości przedszkola może wyjść również i ze szkoły wiejskiej, której nieobcą jest myśl społeczna i poczucie odpowiedzialności za przyszłość. Trzeba jedynie, aby nauczyciel gorąco odczuwał potrzeby społeczeństwa, wśród którego żyje, a jednocześnie był człowiekiem, który potrafi realizować swoje dążenia i pragnienia bez ujemy dla szkolnych obowiązków.

Takim nauczycielem jest Karol Prella z Jeringshawen, ubogiej nadmorskiej wioski. Punktem wyjścia była tu życiowa konieczność. Prella ją dojrzał i postanowił nie zwlekając złemu zaradzić: poprostu zabrał do izby szkolnej małe dzieci. Działo się to w 1932 r. Jak sam opowiada,

1) Wyd. radcy Waldemara Döpel. „Bilde aus der Jugendwohlfahrt in Thüringen”. Weimar — Herman Böhlau.

2) Sprawozdanie Erny Corte o „Zentrablatt für Jugendrecht u. Jugendwohlfahrt” 23. Jahrgang 1933/34. S. 247 — 248.

zorganizował pracę w sposób następujący: przedszkole stanowi część pracy szkolnej. Przyrowadzenie dzieci należy do starszych dziewcząt. Po pierwszej lekcji szkolnej idą trzy dziewczynki na wieś, — dwie są z najstarszego oddziału, a trzecia ze średniego, jako ich pomocnica. We trzy przyprowadzają malców do szkoły, tak, że codziennie wieś jest świadkiem takiego małego pochodu dziecięcego. Ze śpiewem wchodzą do szkoły i po uroczystem powitaniu zajmują malcy przydzielony im kąt izby. Przez pewien czas bawią się swobodnie zabawkami, przygotowanymi dla nich przez starsze dzieci. Te starsze dzieci, a zwłaszcza dziewczynki, muszą również spisywać wierszyki, piosenki, opowiadania, modlitwy i wyuczać się ich doskonale na użytek dzieci z przedszkola. Jako wypracowanie szkolne opisuje się często przedszkole lub podaje charakterystykę któregoś z małych dzieci. Roboty ręczne dziewcząt i chłopców idą również na użytek przedszkola, dla niego trzeba było się nauczyć tkactwa, heblowania, krawiecczyny. Tyle nowych zadań stanęło przed uczniami szkoły. A zapytania malców z dziedziny przyrody, na które trzeba umieć odpowiedzieć! Przeważna część literackiej działalności szkoły była wywołana dziecięcym pytaniem: „dlaczego?”. Zbudzono pytania dziecięce i uznano je za ważne ¹⁾).

Dalszym krokiem tego ruchu były bezsprzecznie próby robione w Wörsdorf przez Franciszka Kade (początek — 1 listopad 1932 r.), który również połączył szkołę z przedszkolem, przewidując je już przy opracowywaniu planu nowego budynku szkolnego swej dwuklasowej szkoły. Dlaczego? Powodowały nim, oczywiście, przyczyny natury społecznej: oto wypowiedział walkę wielkiej śmiertelności dzieci na wsi. Rodzice byli zmuszeni zamykać dzieci w domu lub zostawiać je na swobodzie bez żadnego dozoru, a sami szli do pracy w polu. I jedno i drugie zagrażało życiu dziecka, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie zaprószenia ognia. Widział on jak małe dziecko nie ma odpowiednich dla siebie warunków, ani możliwości rozwoju, jak jest przez starszych często gniebione. Usunięcie tych trudności widzi Kade w nowym wychowaniu kobiet, w wychowaniu, które przygotowuje je realnie do życia. Wychowanie kobiety musi się prowadzić w szkole, a więc i w wiejskiej szkole, a jego nieodzowną, integralną część stanowić ma przedszkole.

Ku temu zmierzają i lekcje gotowania, i praca w ogrodzie szkolnym, i wszystkie te sprawy szkolne, które wynagają ręki kobiecej. Ale

1) Karl Prella i Anneliese Taddiken — Mädchenbildung in der Landschule 1935 r.

przedszkole jest w tym całokształcie wychowania czemś decydującem, ważnem niezmiernie, gdyż właśnie wokół niego skupia się największa część pracy i działalności starszych dziewcząt, które już w wieku szkolnym mają zdobyć to właśnie życiowe przygotowanie kobiety ¹⁾. Rano jest wspólna lekcja muzyczno-gimnastyczna, a po niej dzielą się dziewczęta najstarsze między przedszkole, kuchnię i ogród. Dzieci z przedszkola przychodzą dopiero na dużą pauzę, trzeba wyjść naprzeciwko nich, niektóre z nich trzeba nawet przyprowadzić. A potem dzieci piją ugotowane dla nich kakao. Podczas mego pobytu w czerwcu 1933 r. stał przed kuchnią niski stolik, na którym postawiono tacę z dymiącemi kubkami kakao. Dzieci podchodziły kolejno, każde brało swój kubek, ostrożnie niosło go do sali i siadało na swoim miejscu. Przy jednym stoliku siedzi 4 — 5 dzieci, a dyżurowała przy nich jedna ze starszych dziewczynek. Po śniadaniu prowadziły dziewczynki gry i zabawy z dziećmi z przedszkola.

Dzieci te mają dużo zabawek, ułożonych w nowoczesnych szafach, mają pokój dla lalek, a wszystko to przyniesione, zrobione, a w razie potrzeby naprawiane przez dzieci ze szkoły. Starsi chłopcy na lekcjach robót zbudowali huśtawkę. Starsze dziewczynki muszą gromadzić pio-senki, gry i opowiadania dla wieku przedszkolnego, jak to zresztą i PELLE poleca.

Mamy tu do czynienia, co należy raz jeszcze podkreślić, z przedszkolem wiejskiem złączonem ze szkołą. Dzieci przychodzą tu tylko na 2 przed-południowe godziny, Kade obawia się bowiem, aby przedszkole nie rozrywało rodziny, usuwając od niej troskę o wychowanie dzieci. Przedszkole staje się często dla rodziców wygodnem schroniskiem dla dzieci. Bez przesady można stwierdzić, że w Wörsdorf dzieci z przedszkola są przedewszystkiem żywym materiałem pedagogicznym, na którym kształci się żeńska młodzież. Nie potrzeba tu żadnej wychowawczyni, wystarczy nadzór nauczycielki. Wyobraźmy sobie tę szkołę w Wörsdorf: prawie wszystkie dziewczęta mają w domu młodsze rodzeństwo, którem muszą się opiekować; to samo, co robią u siebie według wskazówek matki i tradycji rodzinnej, to samo wplata się w ich zajęcia szkolne. Oczywiście na terenie szkoły odbywa się to w zmienionej, uszlachetnionej formie, a codzienne zajęcia przestają być zwykłym niańczeniem dzieci, nabierając zupełnie innego znaczenia. Powszedni, codzienny trud okazuje się czemś świadomem, — jest wart specjalnej wiedzy, umiejętności, zmiany zachowania.

¹⁾ „Dorfkinderarbeit in Wörsdorf” von Irmgard Drüner in der Dorfgemeinschaft II. 2; Franz Kade in der „Neuen Deutschen Schule” VI. 7. S. 460 ff.

Nie trzeba zbyt pośpiesznie mówić, że taki stan nie powinien przeciągać się zbyt długo, że trzeba sprowadzić wykwalifikowaną wychowawczynię, gdyż fakt opiekowania się młodszem rodzeństwem będzie zawsze naturalnem zjawiskiem wychowawczem. A co zrobiła i robi szkoła? Wychwyciła ona z tej różnorodnej, bogatej masy rzeczywistości wychowującej nas od kolebki do grobu pewne pojedyncze momenty, konieczne dla życia, związała je w jedną całość pod kierownictwem przygotowanych osobników, a oni te zadania muszą rozumnie rozbudować i przemyśleć dla skutecznego wychowania młodzieży. Dlatego też nie mamy prawa oponować, jeśli ci ludzie chcą do tego, co uważamy dziś za „szkolną” działalność dodać coś jeszcze. Chodzić tu może tylko o to, czy nauczyciel lub nauczycielka posiadają umiejętność kierownictwa i organizacji. Gdyby zaś taka łączność szkoły i przedszkola częściej się zdarzała, a nawet stać się miała regułą, to już dziś trzeba by się zatroszczyć o to, aby nauczyciele i nauczycielki otrzymali potrzebne przygotowanie teoretyczne i praktyczne z zakresu wychowania wieku przedszkolnego, to jest tego, co dla nauczyciela przyszłości będzie niezbędne nawet wówczas, gdy nie ma on styczności z przedszkolem.

Próba w Wörsdorf wymaga jednak pewnego omówienia przy porównaniu z temi przedszkolami, które powstają naskutek pewnych społecznych konieczności. Wywołują one po wsiach potrzebę przedszkoli, ale przecież są wsie (np. w Dolnej Saksonji lub nad granicą duńską), gdzie mogą się one wydawać niepotrzebne. Tam gdzie gospodyni nie bierze prawie wcale udziału w robotach polnych, tam gdzie jest służąca, a w razie większej ilości dzieci i niańka, mogą one być zatrudnione przy uprawie roli czy przy żniwie. Dzieci na takiej wsi bawią się z dziećmi sąsiadów, przyłączają się do nich dzieci miejscowych rzemieślników, spokrewnieni są oni bowiem z gospodarzami wiejskimi i ich dzieci posiadają pełne prawa do wspólnej zabawy. Taka grupa dziecięca, obejmująca 4 — 5 dzieci spotyka się i łączy bardzo łatwo.

Zagadnienie wychowania przedszkolnego, rozpatrywane z punktu widzenia społecznego, rozwiązuje się więc samo przez się w miarę polepszania się warunków ekonomicznych wsi i lepszej organizacji gospodarstw rolnych.

Inaczej jednak sprawa się przedstawia, jeśli spojrzymy na próbę w Wörsdorf pod kątem celów wychowania. Została tu urzeczywistniona idea, która dla wszystkich szkół wiejskich powinna mieć jednakowe znaczenie. Idzie tu przede wszystkim o praktyczne, życiowe wy-

kształcenie młodych dziewcząt, a tego osiągnąć się nie da bez odpowiedzialnej pracy w przedszkolu, związanem ściśle ze szkołą.

Że przytem tu i tam pewne trudności socjalne będą usunięte, to już dalszy, uboczny skutek, oczywiście bardzo pomyślny, ale nie w tem rzecz. Chodzi tu bowiem o nowe niemieckie wychowanie dziewcząt w szkołach. Zanim zaczniemy rozważać to zagadnienie, musimy na chwilę cofnąć się z terażniejszości i zapytać: coby na to powiedział mistrz Fryderyk Froebel?

dok. w nast. numerze.

Irena Katzówna

Przedszkole miejskie z Warszawy na kolonji

Oddawna marzyliśmy, aby dzieci z naszego przedszkola wyjechały z nami na wieś. Rok rocznie kilkoro dzieci wysyłałyśmy na kolonje z dziećmi szkolnemi, jednakże nie czuły się one zupełnie dobrze, regulamin obowiązujący dla dzieci starszych nie całkowicie odpowiadał małym, przytem dzieci tęskniły. Z drugiej strony zarząd kolonji niechętnie przyjmował dzieci w wieku przedszkolnym, ze względu na to, że sprawiają one wiele kłopotu, potrzebują specjalnej opieki i nawet poświęcenia ze strony personelu wychowawczego. Postanowiłyśmy więc zorganizować kolonje dla naszych wychowanków. Przedewszystkiem pragnęłyśmy zabrać na wieś te najslabsze, najbiedniejsze z poddaszy i suterren.

Na pierwszym zebraniu rodzicielskiem przedstawiliśmy nasz projekt, proponując zbieranie w tym celu pieniędzy. Okazało się jednak, że dla większości rodziców było to niemożliwe, ze względu na zupełny brak zarobków. Wówczas powzięto projekt zdobycia pieniędzy drogą organizacji imprez dochodowych. Na pierwszy plan wysunięto loteryję fantową, która nam dała duży zysk. Obliczyliśmy, że za te pieniądze możemy już wysłać kilkoro dzieci. Stało się to bodźcem do zdobywania nowych funduszy. Przy czynnym współudziale rodziców, w ciągu roku szkolnego mogłyśmy zorganizować kilka imprez, które dały nam poważny dochód. Nie mając jednak własnego terenu na kolonję, zwróciliśmy się do Towarzystwa Kolonji Letnich im. d-ra Markiewicza o przyjęcie nas na letnisko Towarzystwa. Dyrektor kolonji chętnie się

na to zgodził, podając warunki następujące: stronę administracyjną t. j. służbę, żywienie, pościel, opranie i lekarza bierze na siebie Tow. Kol. Letnich, my zaś dajemy personel wychowawczy i 30 złotych za dziecko. Warunki te przyjęliśmy chętnie, ponieważ bardzo nam dogadzały.

Czas trwania kolonji oznaczono na okres od dn. 15 maja do 15 czerwca, gdyż potem letnisko zajmuje młodzież szkolna.

Przyszła wiosna — zbliżał się czas wyjazdu. Znając warunki naszych rodziców, indywidualnie załatwialiśmy z nimi sprawę wyjazdu dzieci, w miarę potrzeby przychodząc im z pomocą. Jednak chodziło nam bardzo o to, aby rodzice poczuwali się do obowiązku wpłacenia chociażby minimalnej kwoty za swoje dziecko. Uważaliśmy, że takie postawienie sprawy dodatnio wpłynie na ustosunkowanie się do naszych zamierzeń i nie upokorzy rodziców.

Dzieci nasze przed wyjazdem były dwukrotnie badane przez lekarza szkolnego, oraz musiały złożyć zaświadczenie z Wydziału Sanitarnego, że w otoczeniu niema chorób zakaźnych.

Dnia 15 maja b. r., 119 dzieci (100 z naszego przedszkola i 19-ro z innych) pod opieką 4-ch wychowawczyń z przedszkoli miejskich m. st. Warszawy, przybyło na dworzec. Mali pasażerowie mieli miny przejęte, zaciekawione i z niecierpliwością oczekiwali na odejście pociągu. Przez całą drogę dzieci dopytywały się, czy na kolonji będzie prawdziwy las i wilki w lesie, czy będą rosły kwiaty i gdzie dzieci będą spały, w lesie czy w domu.

Letnisko nasze znana „Zofjówka” Tow. Kolonij Letnich znajdowało się koło Ostrołęki. Podróż trwała blisko 3 godziny. Po przyjeździe na miejsce, dzieci wyraziły swe zadowolenie radosnymi okrzykami i bieganiami po olbrzymiej werandzie. Dałyśmy im możliwość wyładowania swej uciechy. Gdy po kolacji dzieci poszły spać, okazało się dopiero, że musimy wysilić swoją umiejętność, żeby zastąpić dzieciom matkę. Każde serdecznie garnęło się do nas, rozpytywując o swoją mamusię. Chodziłyśmy więc od łóżeczka do łóżeczka, otulając maleństwa i przyrzekając, że będziemy razem z nimi spały. Nazajutrz, dzieci miały tyle wrażeń, że już mniej mówiły o swych matkach i o domu. Plan naszego dnia przedstawiał się następująco:

Godzina 7 rano wstawanie, mycie się, gimnastyka w formie zabaw; godz. 7,50 — modlitwa, godz. 8 — śniadanie. Od godz. 9 do 11 dzieci bawiły się w piasku, używając jednocześnie kąpieli powietrzno-słonecznych. W zabawach dzieci tworzyły grupy. Jedne samodzielnie organizowały zajęcia i zabawy, inne prosiły nas o zabawienie się z nimi. Zauwa-

żyłyśmy przytem rzecz bardzo interesującą i zastanawiającą: oto dzieci, które w Warszawie były bardzo spokojne, nawet apatyczne, tu nabierały życia, wykazując często dużą inicjatywę i chęć przodowania.

Godzina 11 — 12 spacer i przygotowanie do obiadu. Od godz. 12 do 15,30: obiad, leżakowanie, potem gry i zabawy lub opowiadanie na prośbę dzieci. Oprócz tego dzieci mogły korzystać z przygotowanych pomocy pedagogicznych.

O godz. 4,30 — podwieczorek. Po podwieczorku wycieczka o pewnym, określonym celu: szliśmy obejrzeć gniazdo bocianie, zobaczyć piłowanie drzewa, zaobserwować bydło lub konie na pastwisku, zbierać kwiaty dla ubrania ołtarza. Odbywaliśmy też wycieczki na wieś, gdzie dzieci widziały prądkę, obserwowały kokosz z kurczętami, widziały pracę na roli, zachwycały się szybkim wzrostem zbóż i innych roślin i t. p. Przed 6,30 pełne wrażeń i zadowolenia wracały do domu na kolację. Po kolacji bawiły się jeszcze chwilę na świeżem powietrzu, a o godz. 8, wmyte, leżały w łóžeczkach.

W razie deszczu spędzaliśmy czas na werandzie, gdzie przeprowadzałyśmy zajęcia jak w przedszkolu. Dzieci lubiły i takie dni. — To też przy długotrwałej pogodzie pytały: kiedy będzie deszcz? Wogóle dzieci nasze czuły się bardzo dobrze, nie tęskniły, miały dużo swobody i radości; często mówiły o przedszkolu, przypominając sobie niektóre fragmenty z życia w niem, jak zabawy kostjumowe i przedstawienie, to też nieraz samorzutnie powtarzały je na kolonji. Nastrojowym i uroczystym dniem na kolonji było uczczenie pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Było to wkrótce po przyjeździe. Dzieci miały świeżo w pamięci wrażenia spowodowane śmiercią Marszałka. Często wspominały o tem, dopytując się nas o Niego, tembardziej, że niektórzy rodzice obszernie opisywali uroczystości pogrzebowe w Warszawie. A więc urządziliśmy akademię wspólnie z dziećmi, pomimo, iż w przedszkolu miałyśmy już tę uroczystość. Przy ubranym portrecie, opowiedziałyśmy o ś. p. Marszałku, pomodliłyśmy się za Niego, a potem chwilą ciszy, odpowiedniami śpiewami i wierszykami uczciłyśmy pamięć Zmarłego. Dzieci były mocno wzruszone, poważne, a w ciągu dnia samorzutnie przychodziły do portretu, prowadząc ciche rozmowy o Marszałku.

Zwykle po odpoczynku odczytywałyśmy dzieciom listy z domu. Dużo dzieci zupełnie nie otrzymywało listów, a jednak każde oczekiwało wiadomości od rodziców. Robiłyśmy więc w ten sposób, że odczytywałyśmy listy własnego pomysłu. Dzieci były szczęśliwe, że mamusia o nich pamięta i prosiły o odpisanie. Co tydzień posyłałyśmy do rodziców wiadomość o ich dzieciach to też byli spokojni i mało kto odwie-

dzał swoje dzieci. Ogromne zainteresowanie wzbudzało jedzenie. Dzieci mówiły: „Ojej! jak tu dużo jeść dają, a jakie dobre; mamusia to tylko supę gotuje, a tu i mięso i deser”. Charakterystyczne było, że dzieci, które w domu nigdy mleka lub innych potraw do ust nie wzięły i matki pisząc do nas zaznaczały, żeby im tego nie dawać, bo dziecko nie znosi — zastrzeżone potrawy zjadały, prosząc o dokładkę lub dolewkę.

Jedynym naszym zmartwieniem były choroby. Pomimo ostrożności przy wysyłaniu i badaniu przez lekarza — po przyjeździe na kolonje nie ustrzegłyśmy się przed odrą, na którą zachorowało 9 dzieci. Ponieważ pierwsze zachorowania nastąpiły w kilka dni po przyjeździe, oczywistą rzeczą było, iż zarazki zostały przywiezione z domu. Leczyć jak się od tego ustrzec? Tyle było badań lekarskich i zaświadczeń sanitarnych! W każdym razie stanowi to przestrożę na przyszłość, aby jeszcze więcej ostrożności zastosować.

Dzieci ogromnie współczuły chorym, które leżały odseparowane w szpitaliku — dawały dla nich kwiaty, cukierki i owoce i prosiły, aby im odesłać, dopytywały się często o nie, a przy pacierzu modliły się o ich zdrowie. Na intencję chorych dzieci odprawiona była Msza św.

W każdą niedzielę odbywało się nabożeństwo na miejscu. Starsi ze wzruszeniem patrzyli na skupione twarzyczki dzieci, podziwiając ich zachowanie się, a specjalne kazania dla dzieci dawały im temat do rozmów. Słyszałyśmy nieraz uwagi wzajemne „a pamiętasz, co ksiądz mówił — nie kłam, bo nie pójdziesz do nieba” lub „on się pani nie posłuchał, a to grzech i Panu Jezusowi smutno” i t. p.

Ostatnie dni pobytu na kolonji były dla nas niespodzianką. Przypuszczaliśmy, że dzieci z upragnieniem będą oczekiwały wyjazdu, tymczasem z małemi wyjątkami, spotkałyśmy się z czemś wręcz przeciwnem. Na naszą uwagę, aby szukały swoich rzeczy, gdyż inaczej nie pojadą do domu, odchodziły zadowolone, mówiąc: „to dobrze, jeszcze zostaniemy”, a inne „ja tobym chciała zobaczyć mamusię i zaraz wrócić”, a były i takie, które wyraźnie zmartwiły się z powodu wyjazdu.

Wyjazd nastąpił dnia 13 czerwca. Rodzice oczekiwali na dworcu i z radością witali swoje pociechy, wyrażając zadowolenie z dobrego wyglądu i dopytując o wagę i zachowanie dzieci (dzieciom przybyło przeciętnie 1¹/₂ kg.) Patrząc z punktu widzenia dobra dziecka, uważamy, że nie żał wysiłków, jakie się ponosi przy urządzaniu takich kolonij. Szkoda tylko, że tak mało dzieci z nich korzysta, a to jedynie z braku pieniędzy. Ułatwienie nam zorganizowania kolonji i udzielenie

odpowiedniego, wygodnego miejsca pobytu przez Towarzystwo Kolonij Letnich im. d-ra Markiewicza wspominamy z wdzięcznością.

Od Redakcji: W roku 1933/34 w N-rze 8 „Przedszkola” podaliśmy artykuł p. J. Pawłowskiej o organizacji kolonji dla dzieci z przedszkoli m. Łodzi. Niniejszy artykuł zawiera również szereg ciekawych danych. Nasuwa się przytem myśl, iż niezależnie od tego, na jakim terenie i na jakich zasadach organizuje się kolonję dla dzieci z przedszkoli, pierwszorzędne znaczenie ma objęcie wychowawstwa przez personel znany dzieciom z przedszkola oraz umiejący i pragnący otoczyć działwę macierzyńską opieką.

Zofja Charszewska

Z pracy w przedszkolu

Opracowanie tematu „Warzywa”.

Przedszkole nasze znajduje się w osiedlu podmiejskiem. Nie jest to „prawdziwa” wieś, jednak dzieci mają tu o wiele większe możliwości prowadzenia obserwacji przyrodniczych, niż w mieście. Przedszkole mieści się w małym ogródku, w którym dzieci posiadają swoje grządki. W odległości 10 minut drogi od przedszkola rozciągają się uprawne pola warzywne. Ciągną się wzdłuż szosy długie zagony cebuli, kapusty, buraków i kartofli. W roku ubiegłym pracę w przedszkolu rozpoczęliśmy 3-go września. Pierwsze dwa tygodnie wypełniło zapoznanie się dzieci z przedszkolem i ogródkiem przedszkolnym. Potem zaczęliśmy wychodzić poza obręb przedszkola, oglądać „okolice”. Pola warzywne, rozciągające się za przedszkolem, stały się punktem wyjścia dla całego cyklu pogadanek i zajęć w przedszkolu, obracających się dokoła tak aktualnego na jesieni tematu — „warzywa”.

Podczas pierwszego spaceru zwracamy uwagę na zagony kapusty. Dzieci czynią spostrzeżenia: że kapusta jest zielona, że ma dużo liści, że rośnie nisko przy ziemi. Sześciolatek Wicusz oświadcza, że kapustę będą niedługo ścinać (ojciec Wicusia jest ogrodnikiem). Postanawiamy jeszcze raz przyjść tutaj, by przyjrzeć się, jak będą ścinać kapustę.

Następnego dnia przynoszę do przedszkola główkę kapusty. Omawiamy jeszcze raz kształt i kolor kapusty, obdzieramy ją z liści, przyglądamy się im. Potem mówimy o tem, poco ludzie uprawiają kapustę? Jaki mamy z niej pożytek? Olek opowiada, jak mamusia jego robi z kapusty „gołąbki”. Kazia mówi, że najlepiej lubi kapustę z po-

midorami. Rozmowę kończę opowiadaniem o małym zajączku, który udał się na poszukiwanie żeru, o tem, jak zajaadał sobie na polu kapustę, jak później musiał uciekać przed dużym psem, który go prędko gonił. Pięcioletni Tadzik powiedział, że ma króliki, które bardzo lubią kapustę. Daje im liście kapuściane, a także marchewkę i jabłka. Wobec tego podarte przez nas liście kapusty postanowiliśmy na propozycję Hani — dać Tadzikowi dla jego królików.

Tego dnia w zajęciach dowolnych dzieci przeważał temat kapusty. Hania ulepiła kapustę z zielonej plasteliny. Wicek wyciął kilka niebardzo foremnych kółek z zielonego papieru, mających wyobrażać główki kapusty, wreszcie Tadzik narysował „kapuściane pole” i małego zajączka, który ucieka przed wielkim psem. Zajączek wypadł przytem niezmiernie mały, mniejszy od główki kapusty, zato olbrzymi pies zajmował prawie pół kartki papieru i miał strasznie duże wystające zęby, które mi, jak twierdził Tadzik, chciał „pożreć” zajączka.

W podobny sposób zaznajomiliśmy się z burakami, marchewką i cebulą. Robiliśmy wycieczki na pole i do sąsiednich ogrodów, między innymi do ogrodu ojca Wicusia. Obserwowaliśmy również ścinanie kapusty, układanie jej w wielkie kopce, ładowanie na wozy, wrywanie marchwi, kopanie kartofli i t. p.

Teraz oczekiwało nas nowe zagadnienie. Wysunęły je — jak to często miało miejsce — same dzieci. Oto Zosia, wracając ze spaceru, zapytała poprostu: „Proszę pani, a co dalej robią z tą kapustą, jak ją już zetną?”

Zaczęliśmy więc mówić o zapasach na zimę, o szatkowaniu i kwaszeniu kapusty. Dzieci znów samorzutnie lepiły i rysowały beczki do kapusty. Bawiliśmy się potem w ścinanie, ładowanie na fury i szatkowanie kapusty (opowiadanie gimnastyczne). A potem Wicusz opowiadał, jak jego tatuś teraz codzień wozi na targ do Warszawy marchew, buraki i kapustę. Wybraliśmy się i my na targ. Wprawdzie nie do Warszawy, ale na mały targ naszego osiedla. Tam oglądaliśmy stragany, na których leżała kapusta i marchew i ogórki i buraki. Omawiając tę wycieczkę, użyłam już pierwszy raz słów: jarzyny i warzywa, jako ogólnych nazw tych produktów. Starałam się również podsunąć dzieciom myśl wykonania pracy zbiorowej — małego straganu z warzywami, opowiadając im o dzieciach, które bawiły się w targ, urządziwszy sobie małe straganki z pudełek od gilz. Zaraz też Tadzik podchwycił moją myśl. „Proszę pani, i my zrobimy takie stragany!” O to mi tylko chodziło. Zebraliśmy materiał: pudełka od gilz i zapałek, szpulki od nici, papier kolorowy, plastelinę, glinę, farby.

Pudełka od zapalek i szpulki znaleźliśmy w worku „niepotrzebnych rzeczy”, pudełka od gilz — przyniosły z domu dzieci. Ze szpulek i oblepionych kolorowym papierem tekturek zrobiliśmy stragany, oklejone papierem pudełeczka od zapalek zastąpiły nam skrzynki, worki uszyliśmy z przyniesionych przez dzieci gałganków, jarzyny ulepiliśmy z gliny i plasteliny. Wykończoną pracę zbiorową postaviliśmy na „honorowym miejscu” w przedszkolu. Oprócz tej pracy powstały w tymże okresie różne prace indywidualne dzieci: ulepiona z gliny „mama” z koszykiem, koszyki z warzywami; becзки do kwaszenia kapusty; wycinanki — marchew, kapusta, buraki, różne rysunki, przedstawiające bądź ścinanie kapusty, bądź kopanie kartofli, wreszcie ilustracje opowiadanych przezemnie historyjek. Z prac dzieci urządziliśmy małą wystawę, stawiając jak zawsze na naczelnem miejscu naszą wspólną zbiorową pracę.

Późniejsze zabawy „w targ” dały sposobność przeprowadzenia licznych ćwiczeń rachunkowych.

Pierwszy raz udało się w związku z tym tematem urządzić inscenizację, której autorami były same dzieci.

Zaczęło się od zagadek. Zagadki były zawsze bardzo popularne w naszym przedszkolu i często zdarzało się, że dzieci same starały się układać zagadki. Kiedy naprzykład zeszłej zimy, po pogadance o psie powiedziała dzieciom znaną zagadkę: „siedzi pod stołem i szczeka” i t. d., Maniuś powiedział mi też zagadkę o krowie: „Stoi w oborze i ryczy i daje mleko. Co to jest?” Przez pewien czas ogarnęła dzieci zupełna manja zagadek: układały zagadki o koniu, kocie i innych zwierzętach.

I teraz, gdy zaczęłam mówić zagadkę o cebuli, Zosia przypomniwała sobie dawną zabawę w zagadki i zadała nam takie pytanie: „Jest zielona, ma dużo liści, ludzie ją jedzą i króliki i zajączki. Co to jest?” Posypały się potem inne „zagadki”. Starałam się przytem, żeby dzieci ujmowały w „zagadce” jaknajwięcej zasadniczych wiadomości o danej jarzynie. Wówczas też wpadłam na pomysł, by urządzić z dziećmi inscenizację. Rozdzieliłam role. Jedno z dzieci było kapustą, drugie kartoflem, burakiem i t. d. Dzieci musiały mówić o sobie to, co wiedziały o danej jarzynie.

Były przytem czasem ciekawe pomysły, świadczące o żywej wyobraźni dziecięcej. Oto Tadzik, mały buraczek, powiedział: „Wyrwają mnie, ciągną za włosy. Krają mnie i robią ze mnie barszczyk!” Postarałam się o odpowiedni wierszyk i kilka piosenek, które wpleliśmy do inscenizacji, „żeby było ładniej”.

Wystawę prac i inscenizacją, na której byli obecni rodzice, zakończyliśmy nasze prace na temat warzyw. Samorządne zainteresowanie dzieci tematem trwało długo ze względu na przybywające wciąż nowe jarzyny i urozmaicenie naszej pracy szeregiem pomysłów, z których znaczna część pochodziła od dzieci.

W pracy bowiem z dziećmi starałam się jak zawsze wykorzystać każdą ich inicjatywę, utrzymać ich aktywny stosunek do pracy, zostawić im dużo swobody w realizowaniu projektów. Starałam się kierować pracą dzieci, lecz nie nakazywać im wykonania poszczególnych czynności. Jestem bowiem głęboko przekonana, że tylko w atmosferze swobodnej pracy i zabawy, a nie w atmosferze przymusu, osiąga się zainteresowanie pracą i aktywny stosunek dziecka do pracy, będący konieczną przesłanką normalnego umysłowego rozwoju dziecka i szybkiego przyswajania przez nie podawanych wiadomości. Starałam się również organizować prace zbiorowe i grupowe, by przyzwyczaić dzieci do współpracy i rozwinąć życzliwy stosunek do pracy i poczynań kolegów.

Przegląd wydawnictw

L'ECOLE MATERNELLE FRANÇAISE, Nr. 8 — maj 1935 r.

Numer ten przynosi wyczerpujący artykuł inspektorki p. M. Bardot, na znany wychowawczyniom temat: „Dzieci i zabawy”. Temat znany, wielokroć omawiany, uzasadnienia psychologiczne o konieczności zabawy w życiu dziecka wszystkim wiadome, cóż więc nowego wnosi praca p. Bardot? Po krótkim stosunkowo wstępie podaje ona systematykę zabaw i gier, opracowaną wyczerpująco. Dzieli gry i zabawy dziecięce na ruchowe i intelektualne. Gry ruchowe mają na celu rozwijać spontaniczną u dziecka potrzebę ruchu i udoskonalać ją przez ćwiczenia metodyczne. Autorka kolejno omawia właściwe gry ruchowe, które służą do rozwoju i usprawnienia dolnych kończyn, gry polegające na zahamowaniu ruchu, na opanowaniu go, tak jak pierwsze miały na celu usprawnienie członków, gry ćwiczące oddech, tak ważny dla dobrego funkcjonowania organizmu i wreszcie gry zręczności, polegające na wysubtelnieniu mechanizmu motorycznego kończyn górnych, a zwłaszcza dłoni; gry te mają poważne znaczenie praktyczne dla dalszego życia dziecka.

Gry ruchowe doprowadzają dziecko aż do progu gimnastyki metodycznej, która wymagać będzie wydatnego udziału woli — jej celem jest udoskonalenie mechanizmu ruchowego dla tem lepszego użytkowania go w życiu. Gry ruchowe wymagają uwagi, a często i pewnego wysiłku pamięci, podniecają wyobraźnię, wreszcie wywołują wzruszenia (przyjemność oczekiwania, radość zwycięstwa), zaszczepiają wytrwałość. Mimo to jednak cele ich są czysto fizjologiczne.

Przeciwnie gry intelektualne, a jak je niektórzy nazywają „psychiczne”: zawierając w sobie oczywiście pewną znaczną dozę ruchu, należą one do dziedziny umysłu ze względu na cel, jaki sobie stawiają. Wchodzą w życie dziecka i zajmują w niem poważne miejsce w miarę jak staje się ono zdolne do obserwowania faktów, do wiązania ich ze sobą logicznie coraz ściślej. Z chwilą gdy małe dziecko zaczyna sobie zdawać sprawę z przeznaczenia przedmiotów otaczających, pragnie je zużytkować na podobieństwo dorosłych. To okres naśladownictwa spontanicznego, z którego nie potrafimy dostatecznie skorzystać. Przeciwnie... Dzieci odtwarzają w zabawie życie, które widzą dokoła siebie. Ale to odbicie otaczającego je świata jest przepojone ich młodą wrażliwością i pozwala odgadnąć czego pragną, co czują. Marzenia ich zabarwiają je tak silnie, że fantazja i pomysłowość górować zaczynają nad wiernością odbicia i nie widzimy w ich zabawach nic więcej ponad grę wyobraźni.

A tymczasem dziecko pożera ciekawość poznania, podnieca je do ustalania podobieństw, związku przyczyny i skutku. Pierwsze zarysy naukowego myślenia zjawiają się mgliste, niejasne, źle sformułowane. A nad wszystkim dominuje rozwój mowy, której słownik wzbogaca się niesłychanie, rodzi się zdanie z jego budową prawidłową, przejawiają się pierwsze próby sądu (logicznego).

Te rozważania skłaniają autorkę do klasyfikowania gier intelektualnych na gry: 1) naśladownictwa, 2) uwagi, 3) mowy.

Pierwsze z nich dają dziecku możność wykazania swojej inwencji — dziecko nie tylko naśladuje gesty i czyny, ale samo przeistacza się i przeistacza całe otoczenie — zabawa staje się poezją.

Gry uwagi — przeciwnie — koncentrują umysł na jednym przedmiocie. Punktem wyjścia jest uwaga, za nią idzie refleksja. Tu należeć będą ćwiczenia zmysłów, ćwiczenia logicznego myślenia.

Gry mowy — o ile mi się zdaje mało u nas rozpowszechnione, bo mało zwraca się na nie uwagi — ćwiczą przede wszystkim mechanizm mowy, następnie idą ćwiczenia wzbogacające słownik, a wreszcie ćwiczenia, w których pomysłowość i szybka orientacja myślowa grają główną rolę.

P. Bardot podaje długą listę tych gier, podkreślając, że wszystkie one nie wymagają zabawek, żądają przeto od dziecka większego wysiłku, zarazem bardziej skutecznego. Będzie to wielka zdobycz, jeśli dzieci zapragną wiedzieć i móc coraz więcej, a idąc cierpliwie krok za krokiem, przejdą nieznacznie od zabawy do pracy.

L'ECOLE MATERNELLE FRANÇAISE, Nr. 9 — czerwiec 1935 r.

Czy można już w przedszkolu uznać dziecko za anormalne?

P. Coirault jest zdania, że konieczne jest możliwie wczesne rozpoznanie anormalności, gdyż trzeba wyzyskać okres dzieciństwa, w którym każda akcja wychowawcza jest znacznie skuteczniejsza. Przytem pamiętać należy, że pierwszy rok szkolny jest dla dzieci z zachwianą równowagą psychiczną zawsze stracony, a co gorsza, przemija w ciągłych konfliktach między uczniem a nauczycielem.

Trudno jest ująć w formę definicji, co rozumiemy pod nazwą „dziecko anormalne” — będzie to zawsze tylko jakiś schemat. Anormalne jest to, co znajduje się poniżej przeciętności, uczeń anormalny — to dziecko, które nie poddaje się przepisom szkolnym, nie przystosowuje się do środowiska szkolnego. Takie

mgliste pojęcie jest jednak często bardzo błędne, nauczyciel może bowiem uważać za anormalne każde dziecko, którego postępy są niedostateczne, lub które buntuje się przeciw dyscyplinie szkolnej. Nauczyciel przytem często wychodzi z wątpliwego zresztą założenia o doskonałości środowiska szkolnego.

Nauka dzisiejsza, opierając się na badaniach, przeprowadzonych w szkole, zna szczegółowe stopniowanie anormalności. Niestety jednak, badania te opierają się przeważnie na czytaniu, pisaniu i rachowaniu. W przedszkolu te definicje mało się nam przydadzą. Idiotów i głuptaków rzadko spotkać można w przedszkolu, znajdziemy ich częściej w domach wychowawczych. Możemy mieć zato często do czynienia z dziećmi zapóźnionymi w rozwoju. Tu odróżnienie od dziecka normalnego przedstawia istotnie poważne trudności. P. Coirault ostrzega, aby nigdy pochopnie nie decydować; jeden fakt, nawet symptomatyczny, nie przesądza sprawy. Trzeba obserwować wytrwale, wnioski uważać za prowizoryczne i podlegające rozpatrzeniu na nowo.

Trzeba rozróżniać: 1) zaburzenia w stanie zdrowia, 2) zaburzenia w czynnościach ruchowych, 3) zaburzenia inteligencji, 4) zaburzenia w sferze charakteru.

Specjalną uwagę powinny wychowawczynie zwracać na zaburzenia w sferze uwagi: uwagę motylkowatą roztargnionego lub atonję ogólną u apatycznego dziecka.

Najłatwiejsze do zaobserwowania są zaburzenia charakteru, gdyż one odrazu oddziałują ujemnie na grupę dziecięcą.

P. Coirault ostrzega, że określenie anormalności jest rzeczą trudną, że opóźniony rozwój może być sprawą chwilową. Mimo to jednak trzeba o tej sprawie pamiętać, dzieci podejrzane obserwować, notować ich zachowanie i stan zdrowia, ale we wnioskach należy być bardzo ostrożnym, aby i siebie i otoczenia nie uprzedzić do dziecka, jako do istoty anormalnej. Dopiero między 6 — 7 rokiem życia można określić stopień opóźnienia w rozwoju. Dla dzieci polskich okres ten trzeba by prawdopodobnie przesunąć między 7 — 8 rok życia.

Sprawozdanie z kursu dokształcającego dla wychowawczyń przedszkoli, który był zorganizowany przez Sekcję Wychowawczyń Przedszkoli Z. N. P. w m. lipcu r. b. w Warszawie, podamy w następnym numerze.

Do numeru niniejszego załączamy dodatek zawierający „Opowiadania jesienne”, pióra Heleny Graff.

REDAGUJE KOMITET

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: LUCYNA SĘKOWSKA

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA
POLSKIEGO: STANISŁAW MACHOWSKI

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA

HELENA GRAFF

OPOWIADANIA JESIENNE

NASTURCJE

Nacia ma koło domu ogródek. Bo trzeba wam wiedzieć, że Nacia mieszka przy takiej ulicy, gdzie koło każdego domu jest ogródek. W ogródku Naci było mnóstwo kwiatów przez całe lato. Ale teraz dużo kwiatów już się skończyło. Przekwitły. Tylko nasturcje jeszcze są. I jest ich bardzo dużo. Nacia najlepiej lubi nasturcje. Bo są najładniejsze. Takie mają kolory jak ogień. Nacia zanosz bukiety dla Pani i żeby postawić w przedszkolu, rozdaje znajomym i komu się da. Ale nasturcji ciągle jest dużo w ogródku. Codzień są nowe i świeże. I nasion sypie się też co niemiara. Nacia je zbiera, zsypuje do pudełka, stawia na oknie. Tam nasiona dojrzewają. Gdy Nacia przynosi nasiona z ogrodu, są one zielone i duże, a jak dojrzeją, to się kurczą, robią się mniejsze i są szare. — Trzeba zbierać, — mówi Nacia, — bo na przyszły rok znów zasieję nasturcje. I znów będzie tak pięknie w ogródku.

Ale do przedszkola Nacia chodzi takimi ulicami, gdzie niema ogródków. I niema wcale kwiatów, nawet na balkonach. Słyszała Nacia przecież, że miały być kwiaty w skrzynkach na balkonach i na oknach — a tu niema nic! — Chyba nie wiedzą — myśli Nacia — jakie nasturcje są piękne. Jakby też wyglądała ta uliczka, gdyby na balkonach były nasturcje. Jużby tu było tak smutno i brzydko. — I nagle wydało się Naci, że ze wszystkich balkonów zwieszają się nasturcje. Naci aż tchu zabrakło. Nie, naprawdę? To mogłoby być tak pięknie, na tej samej ulicy, którą Nacia chodzi codzień do przedszkola? Naci się tylko tak wydało. Naprawdę, to nasturcyj żadnych nie było. Ale Nacia już nie mogła zapomnieć tych balkonów z kwiatami, co się jej przywidziały. I jeszcze pilniej zaczęła zbierać nasiona. Zebrała już bardzo dużo. Ale nie tylko dla siebie. Dla innych. — Porozdzielam — myśli Nacia — i porozdaję. Dzieciom w przedszkolu, Pani, znajomym. Tym, co mieszkają na brzydkich ulicach. Jak będą mieli nasiona, to na przyszły rok zasieją. W skrzynce, a może tylko w doniczce. I będą mieli tak ślicznie i wesoło, jak ja w moim ogródku.

— Chodźcie, dzieci, pomóżcie mi w ogrodzie — zawołała Teofilka.

— Co będziemy tam robili, powiedz, Teofilko.

— Co, nie wiecie, że teraz jesień, wszystko się zbiera i sprząta w ogrodzie? Chodźcie, to zobaczycie.

Duży ogród mają rodzice Teofilki, Stasi i Janka. Na samym końcu ogrodu rósł groch, na takiej długiej grzędzie. Teraz był suchy i poskręcany.

— Wyrwajcie i kładźcie na płachtę. Potem zaniesiemy na strych. Teofilka rozłożyła na ziemi płachtę. Żeby się groch nie rozsypał. Bo takie okrągłe ziarna łatwo uciekają. Janek i Stasia powyrywali groch z całej grzędy i pokładli na płachtę.

— Teraz, Teofilko, daj mi za to grochu — powiedział Janek do siostry.

— A poco ci, będziesz miał w zimie grochówkę za to, żeś zbierał — śmieje się Teofilka. Ale mu dała garść strączków.

Janek groch wyłuskał i schował do kieszeni. O, bo on miał dawnego przyjaciela, który bardzo lubił groch. Szarego gołębia z czerwoną łatką na szyi. Gołąb mieszkał niedaleko za płotem, u sąsiadów. Znał Janka dobrze. Jak go zobaczył, to sfruwał z dachu, bo wiedział, że Janek mu przyniesie coś do jedzenia. Janek najczęściej dawał kawałeczek chleba, bo nie miał nic innego. Ale gołąb zawsze wołał: „grrrochu, grrrochu”. Więc dziś będzie miał bał. Dostanie grochu.

Janek się cieszy, ale grochu tylko na dwa razy wystarczyło.

— Kiedy będziemy łuskać groch, Teofilko?

— Jak wyschnie — powiada Teofilka.

Wysechł wreszcie. Poszli na strych i łuskali groch do miski.

— Patrzcie, jaki robotnik z naszego Janka, — żartowała Teofilka, — pewno znów chcesz na groch zarobić.

Jak skończyli, dała mu ze dwie garście.

Przez kilka dni Janek nosił groch swemu przyjacielowi. Gołąb spacerował pod sztaketami i czekał na Janka.

Kiedy grochu zabrakło, Janek się zmartwił:

— Będę mu zanosił chleb, ale on ciągle woła: „grrrochu, grrrochu!

W ogrodzie wszystko wyrwają i sprzątają. Janek biega po tej grzędzie, gdzie był groch. Patrzy, a na ziemi leży dużo ziarn grochu. Wysypał się, jak zbierali. Janek bardzo się ucieszył. Wszystko pozbierał. Chociaż to daleko większa robota, niż łuskać groch do miski. Za to jego kochany gołąbek znów będzie miał bał.

Ale i to się skończyło. Więc Janek wołał już nie chodzić do gołębia. Aż raz poszedł Janek na strych. Tam, gdzie leżały grochowiny od wyłuskanego grochu. Patrzy, a tam groch się świeci. Po kątach i pomiędzy deskami. Najtrudniejsza to była robota wydłubywać ze szpar w podłodze po ziarnku. Groch ucieka, a Janek za nim goni. Namęczył się porządnie, nim garść zebrał. I jeszcze trochę ziarn w szparach od podłogi zostało. Gołąb dawno widać grochu nie jadł. Jak Janka zobaczył, zaraz sfrunął i wszystko zjadł. Janek pomyślał, że musi jeszcze raz pójść na strych zbierać groch dla gołębia. Ale już niedużo znalazł. Martwił się Janek, że teraz wcale nie będzie miał czem karmić przyjaciela. Więc Teofilka obiecała mu, że czasem da grochu dla gołębia.

Mietek był grzecznym i dobrym chłopczykiem. Ale czasem jak się rozdokazywał, to nie myślał, co robi. Razu pewnego tak się właśnie rozdokazywał w ogrodzie, że sam nie wiedział, na czem swoją siłę wypróbować. Więc przyszło mu do głowy, żeby spróbować, kto silniejszy — on, czy ten ogromny słonecznik. Największy ze wszystkich słoneczników w ogrodzie. Ciągnął go Mietek, ciągnął, aż wreszcie... wyrwał go z ziemi z korzeniami. Teraz Mietek się zasmucił. I zaraz pomyślał, że mama się zmartwi. A Mietek bardzo kochał swoją mamę. I mama bardzo Mietka kochała. Co teraz zrobić? Tak zostawić wyrwany słonecznik? Mietek wie, że słoneczniki ścinają nożem. Ścinają ten kwiat z nasionami, co jest u góry. Mietek noża nie ma. Próbuje więc słonecznik zerwać. Ale łodyga słonecznika jest bardzo mocna. Trudno ją złamać. Namocował się Mietek, namęczył, zanim słonecznik urwał. Ma ochotę płakać ze smutku i ze zmęczenia. Tak go ręce bołą. I cóż teraz zrobić ze słonecznikiem? Prawdziwe zmartwienie. Zaniósł do domu i rzucił w kąt. A sam położył się na łóżku i zaraz zasnął.

Aż tu wydało się Mietkowi, że go ktoś budzi, ciągnie za rękaw. Ogląda się, a to słonecznik przy nim stoi.

— Powiedz mi, Mietku, — pyta słonecznik, — po coś mnie zerwał. Taki duży chłopczyk powinien wiedzieć, poco słoneczniki rosną w ogrodzie. Słonecznik wygląda jak słońce i powinien stać w ogrodzie do końca lata, dopóki słońce mocno grzeje. Dopiero wtedy, gdy słonecznik dojrzeje, można go zerwać. A ja jeszcze nie jestem dojrzały. Żle zrobiłeś, Mietku. Teraz sam się smucisz. Szur, szur, szur. — Słonecznik zaszeleścił liśćmi i wrócił do kąta.

Obudził się Mietek i zaraz zrozumiał, że rozmowa ze słonecznikiem przysniła mu się tylko. Ale smutno jest Mietkowi. Nie chce mu się nawet bawić. A tu słyszy, że mama mówi: — Któż to zerwał największy słonecznik? Więc Mietek prędko idzie do mamy i mówi: — To ja. — I ma łzy w oczach. Mama się zdziwiła, że Mietek miał tyle siły, żeby zerwać słonecznik. Ale nie gniewała się, bo widziała, że Mietek żałuje tego, co zrobił. Tylko potem mama wzięła zerwany słonecznik i pokazała Mietkowi nasionka. Były one jeszcze białe i trudno je było wyjąć. Bo każde nasionko słonecznika siedzi niby w małej komóreczce. Mocno w niej siedzi, gdy nie jest dojrzałe. Mama wyjęła kilka nasionek, otworzyła je i pokazała Mietkowi, że są w środku puste. Bo jeszcze nie są dojrzałe. Dlatego jeszcze słoneczników nie można zrywać.

Gdy lato się skończyło i słoneczniki w ogrodzie dojrzały, mama kazała je pościnać. Potem ścięte słoneczniki leżały na słońcu. Nasionka w nich były już czarne. Teraz jeszcze na słońcu trochę podeschły i łatwo wypadały ze swoich komórek. W każdym nasionku było białe, smaczne jąderko. Mietek przyglądał się wszystkiemu, co mama kazała robić ze słonecznikami. Teraz już wie, kiedy słonecznik można zrywać.

PESTKI Z DYNI

Czy jest takie dziecko, co nie lubi pestek z dyni? A właśnie teraz są już dojrzałe, te ogromne, żółte dynie. Coś wam o nich opowiem.

Franek, Zosia i Romek pamiętają, jak tatuś na wiosnę sadził w ziemi pestki z dyni. Bo tatuś Franka, Zosi i Romka jest ogrodnikiem. Tatuś sadził pestki daleko jedna od drugiej, żeby każda dynia miała dużo miejsca, gdy wyrosnie. Z każdej pestki wyrosły najpierw dwa listki, a potem dynie dostały dużo liści i rozłożyły się szeroko po ziemi. Pewnego dnia dzieci zobaczyły, że dynie zakwitły. „Dynia ma kwiaty” — woła Zosia i biegnie opowiedzieć o tem mamusi. Gdy kwiaty przekwitły i opadły, na ich miejscu dzieci zobaczyły małe, zielone kulki. Codzień chodziły oglądać, co się z temi kulkami dzieje. A kulki rosły coraz większe, coraz większe... — To są dzieciątka dyni — powiedział Franek, starszy braciszek Zosi i Romka. Franek chodzi już do szkoły i często pomaga tatusiowi w ogrodzie. Mówi, że także będzie ogrodnikiem.

Jedną taką dynię, gdy podrosła, tatuś darował Frankowi, Zosi i Romkowi. Dzieci bardzo się ucieszyły i jeszcze częściej przychodziły oglądać, jak to ich dynia rośnie. A dynia była większa od innych i przy końcu lata wyrosła taka duża, że już żadne z dzieci, nawet Franek, nie mógłby jej podnieść. I już nie była zielona, a zrobiła się żółta.

Pewnego dnia tatuś powiedział, że dynia dojrzała i że już można ją ściąć. Tatuś wziął nóż i dynię odciął. I położył ją na dużej ławie w ogrodzie. Jeszcze parę dni dynia poleżała na słońcu, bo tatuś chciał, żeby zupełnie dojrzała. Potem tatuś wziął dynię i zaniósł do domu. Franek szedł przed tatusiem, a Zosia i Romek po bokach. Pilnowali, żeby czasem tatuś nie upuścił dyni na ziemię. Była taka ciężka!

Szkoda było dynię krajać. Ale i pestki wyjąć trzeba i dynię wszyscy razem będą jedli, gdy mamusia ugotuje ją z mlekiem i z kluskami. Takiej dyni na długo wystarczy do jedzenia.

Gdy tatuś odkrajał kawałek, zdawało się, że dynia jest pusta, bo wszystkie pestki leżały w dyni na spodzie. To dlatego, że dynia była bardzo dojrzała. Pestki były ogromne. Pewno będą bardzo smaczne.

Ale najpierw trzeba pestki wymyć, potem rozłożyć na blasze i wstawić do pieca. W piecu wyschną i wtedy będą dobre do jedzenia. Ale nie wszystkie pestki można kłaść do pieca. Franek przypomina, że trochę pestek trzeba zostawić, bo będą potrzebne na przyszły rok do sadzenia w ogrodzie.

